

Gdy zaproponowałam Pani spotkanie w Warszawie, gdzie w miłym miejscu, uznała Pani, że takich w stolicy nie ma...

- Bo brzydota tego miasta ogarnia nas zewsząd. Proszę spojrzeć na warszawskie ulice: sypiące się stare kamienie, rozneglizowane i niegustownie ubrane kobiety, ogolone głowy mężczyzn o zwalistych, zdeformowanych na siłowniach figurach. Wieczorem człowiek boi się wyjść z domu, ulice są puste albo wałęsają się po nich jakieś podejrzané typy. A te szerokie arterie, przecinające miasto, przemierzają obłąkani kierowcy, nie liczący się z niczym życiem. W teatrze siedzą rozparci widzowie, popijają z wielkich butli wodę... To są nowe formy życia. Przyjęłam je do wiadomości. Ale nie mogę ich zaakceptować. Dlatego zaprosiłam panią do mnie, do domu.

- I westchnęła też Pani za Krakowem.

- Bo tam spędziłam biedne, ale cudowne powojenne lata. Wspominam to miasto wspólnie. Te wyśmienite krakowskie kawiarnie, w których przesiadywaliśmy z kolegami: „Noworol”, „Warszawianka”... Wypicie kawy i zjedzenie dobrego ciastka należało do towarzyskiego rytuału. Na wszystko mogło zabraknąć pieniędzy, ale nie na kawę i tort-mocca. Jakże te krakowiarki piekły! Te cudowne, przedwojenne przepisy. Dziś - ciasto z budyniem króluje. To jest pomysłowość z serii wojennych ersatzów, jak herbatol, który produkowano z suszonej marchwi. Ponieważ zawsze byłam osobą dumną, nawet wówczas wolałam czystą wodę. Nie chciałam się oszukiwać i być oszukiwaną. Nie brałam tego do ust. Ciasta z budyniem też nie wezmę.

- Dzieciństwo i młodość spędziła Pani w Nowym Sączu, a jednak w 1938 roku znalazła się Pani w Warszawie, w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. Czy to właśnie tęsknota do sztuki przywiodła Panią do stolicy?

- W domu było nas siedmioro rodzeństwa. Ojciec zmarł, gdy miałam trzy miesiące. Mama nas wychowywała i to jej zawdzięczam zamiłowanie do literatury, poezji, muzyki. Po ukończeniu gimnazjum otrzymałam stypendium i wyjechałam, aby studiować w PIST. Nie wiedziałam, czy mi się powiedzie, więc myślałam również o prawie.

- Powiodło się, egzamin zdała Pani bez trudu?

- To prawda. Zajęcia w PIST trwały kilka godzin dziennie, nie to co dziś, kiedy młodzież siedzi w swoich akademiach od świtu do nocy. Mają sceny, wygodne sale prób, a po ukończeniu Akademii Teatralnej wychodzą na scenę i nie umieją nic: mówić, czytać wiersza. Zdumiewająca rzecz, bo uczących jest niezliczona liczba. Nasi profesorowie mieli dla nas czas, podczas gdy obecni go nie mają. Za to otaczają się tłumem asystentów. Nam towarzyszyła też nadzieja, że jeśli skończymy naukę, co zresztą nie udało się, bo wybuchła wojna, to zostaniemy członkami Związku Artystów Scen Polskich - wielka nobilitacja. Dziś nikt się tam nie wybiera, bo absolwenci szkół teatralnych myślą głównie o tym, aby zagrać w serialu. To jest szczyt współczesnej kariery. Bardzo mnie to smuci. A jak wielu młodych - zdolnych przepada: Znikają gdzieś beż wieści. A my wciąż oglądamy w teatrze, w telewizji te same twarze aktorów, którzy

nie zawsze swym talentem, ale łóckami i innymi częściami ciała przepychają się, by zrobić karierę.

- Nie sądzi Pani, że życie wymusza na nich walkę, której ten zawód wymaga?

- Sądzę, że wielu zdolnych nie znajduje oparcia w swych przewodnikach: pedagogach, dyrektorach teatrów. Ci ostatni

często angażują swoje żony, tzw. deputaty, jak to się za moich czasów mówiło, nie zawsze zdolne. To jest zwykły brak przyzwoitości.

- Gdy Pani rozpoczynała swoją karierę, to mistrzowie troszczyli się o los uczniów, wprowadzali ich w arkana zawodu?

- Ależ oczywiście. Po wojnie cztery sezony spędziłam w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie, z czego jeden za dyrekcji Karola Frycza - wspaniałego artysty. Zdarzyło się raz, że obiecana mnie główną rolę musiał powierzyć innej aktorce. Zaraz otrzymałam kolejne propozycje dużych ról, gdyż dyrektor czuł obowiązek rewanżu wobec młodej aktorki. Jakież to był cudowny i elegancki pan: pełen wdzięku, kultury. Kiedy szedł ulicami Krakowa, trudno było go nie dostrzec. Miał coś niezwykle oryginalnego w pochylonej sylwetce, angielskich tweedach, w które był ubrany. Rozkoszna figura. Juliusz Osterwa - mój kolejny mistrz. Oglądał uważnie aktorów, planował im role z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Był człowiekiem głęboko wierzącym w misję i rolę teatru. Większość z nas poddawała się jego najszlachetniejszej formie wiary, choć trafiał też na cyników.

- Próbowala Pani u Osterwy rolę Dianę w „Fantazym”?

- Tak. Pamiętam te próby. Odbýwały się w Borku Fałęckim, w kawiarnianym ogrodzie. Pamiętam też, jak szliśmy z Osterwą przez krakowski Rynek, jeszcze z kocimi łbami. Kazał mi mówić monolog Dianę, wyprzedzał mnie cały czas, a ja po tych „kocich łbach”, ledwo nadążając, monologowałam. Chciał w ten sposób wymusić na mnie umiejętność pokonywania trudności, oswajenie z rolą. Jego metody pracy były niezwykle zajmujące. Był człowiekiem - legendą, o potęgę ducha. Chciał, aby teatr wciągał widza w orbitę wielkiej, duchowej tajemnicy naszych największych poetów. Pełna uwielbienia byłam także do Stefana Jaracza, artysty dżentelmena, o ujmującym sposobie bycia. W podziemnym PIST próbowałam razem w „Zemście” - on Wacława, ja - Klarę.

- W podziemnym PIST była Pani zaledwie kilka miesięcy - potem nastąpiły dramatyczne wydarzenia wojenne. Pracując w konspiracji, odegrała Pani znaczącą rolę, w uwolnieniu z rąk gestapo Jana Karłowicza. Czy to było wtedy, gdy wyjeżdżał do Paryża jako emisarz?

- Tak. A potem zostałam aresztowana, przesłuchiwana i wreszcie wywieziona do obozu w Ravensbrück. Nie chcę do tego wracać.

- W 1945 roku zadebiutowała Pani w Krakowie rolą Balladyny. Czy bezpośrednio po takich przeżyciach łatwo było zająć się teatrem, budowaniem roli?

- Wewnętrznie nie byłam kompletnie przygotowana do tej

pracy. Nie potrafiłam się nawet niać cieszyć, bo jeszcze nie byłam wśród żywych. Ta propozycja dawała przede wszystkim możliwość zarabiania na życie. I tak to się potoczyło. Zdałam eksternistyczny egzamin aktorski i rozpoczęłam swoją artystyczną wędrówkę, której zwykłe towarzyszyła wielka literatura: Szekspir, Czechow, Wy-

staje się coraz bardziej trywialna?

- Dostrzegam to. I dlatego sądzę, że od trywialności życia trzeba uciekać. Temu powinna również służyć sztuka. Dziś modne jest słowo medytacja. Nie wiem, czym jest medytacja śłupa z ogłoszeniami, natomiast wiem, czym jest rozmyślanie. Moje własne: o życiu, konse-

wód aktorki wymaga zaplecza finansowego i ograniczonych obowiązków rodzinnych. Ja tego nie miałam.

- Ale miała Pani zapewne wiele szczęśliwych chwil na scenie. Było Pani dane zagrać ważne role, które wzbudzały uznanie.

- Otóż to. Dane mi było. Nawet największy talent, jeśli mu

bliski mojemu sercu. A potem przez lata pracowałam z Hanuszkiewiczem. U niego i z nim zagrałam wiele wspaniałych ról. Zawsze lubiłam pracować, a nie brać gażę za nic.

- Przed trzema miesiącami mogliśmy Panią oglądać w roli pani Parnel w telewizyjnej realizacji „Świętoszka” w reżyserii Andrzeja Seweryna. Zatem skłoniła Pani za teatrem?

- To była chwilowa praca na zlecenie. Ale miło, że o mnie pamiętano. Znowu obcowałam z kolegami, dobrą literaturą. Natomiast zabolalo mnie, gdy dowiedziałam się, że w radiu czytane są „Wspomnienia wojenne” Lanckorońskiej. Przecież byłam w Ravensbrück, znam ludzi, których ona opisuje, język, wszelkie szczegóły. Dlaczego mnie tego nie zaproponowano?

- Może dobrze się stało? Odżyłyby wspomnienia. Nie bała się Pani tego?

- To jest sprawa wiarygodności. Byłam tam cztery lata. Znam realia. Więc ktoś może lepiej o tym czytać?

- A jednak obozowy temat powrócił. Co pozwalało przeżyć tamten koszmar?

- Nikt tego nie wie. Ale coś pozwalało. Widać i tak żyć można było, skoro nie dało się inaczej. Człowiek jest silny, broni się. Jest książka jednej z obozowych koleżanek, która opisuje tamto życie. Również nasze recytacje, śpiewy. Byłam nazywana obozowym „słowikiem”, bo najpiękniej śpiewałam. Jest też opis świąt, które organizowałyśmy dla obozowych dzieci. Robiliśmy im nawet małe paczuszki, każda z nas z tego, co miała. To były formy przetrwania.

- Pomówmy o innych świętach, tych z Pani rodzinnego domu, gdy tak duża rodzina zasiadała do wigilijnego stołu.

- To był czas nadzwyczajny. Zjeżdżaliśmy się wszyscy, z różnych stron, nawet przez największe śniegi. Oczywiście, odbywało się wielkie pieczenie: chałki posypywane makiem, przekładane makowce - naturalnie bez haniebnych olejków zapachowych. I torty. Nigdy nie dowiedziałam się, gdzie moja mama nauczyła się piec te nadzwyczajne torty: Fedora, migdałowy. Każdy kawałek miał inny kolor masy: różowy, biały, brązowy. No i był oczywiście strudel, który robiliśmy sami. Najpierw uderzaliśmy ciastem o stół - koniecznie pięćdziesiąt razy. Potem ciągniliśmy je wzdłuż stołu, a na koniec mama całość obkładała gorącymi rondlami. Cóż to był za ceremoniał? Rybę jedliśmy tradycyjną, czyli karpia. I nigdy nie było wódki. Po kolacji kolegdowaliśmy. Chłopcy czasami szli na pasterkę. Dziś moja najbliższa rodzina jest rozproszona: córka w Kalifornii, syn w Wrocławiu...

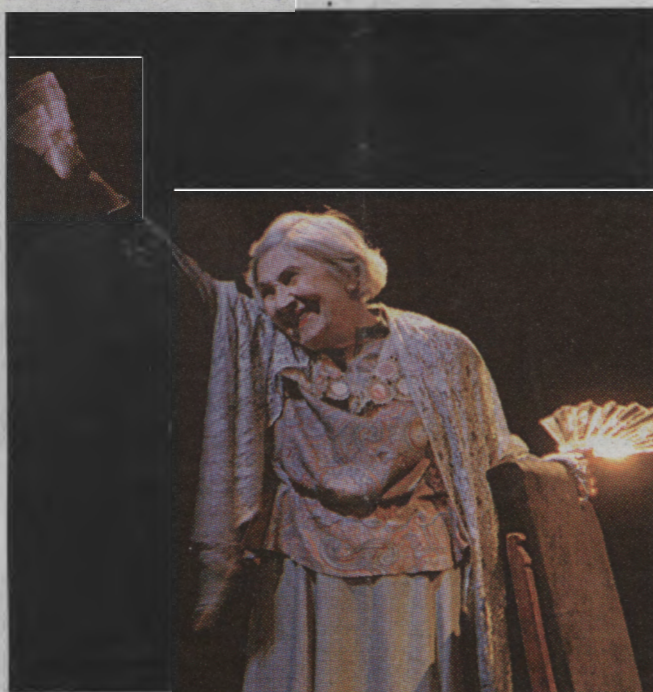
- Rodzina jest daleko, ale zapewne pozostało wielu przyjaciół z lat teatralnych?

- Przyjaciół mam. Ale nie mam przyjaciółek z branży, bo w tym zawodzie to jest niemożliwe. Zaprzyjaźnić się mogą dwie słabe aktorki, żeby dokuczyć dobrej A ja chyba jestem dobrą aktorką?

Zofia Rysiówna, ur. w Rozwadowie, w 1920 roku. Wybitna aktorka dramatyczna scen krakowskich i warszawskich. Zasłynęła wielkimi kreacjami, m.in. w: „Fantazym” - Diana, „Trzech siostrach” - Masza, „Hamlecie” - Ofelia, „Księdzu Marku” - Judyta, „Kronikach królewskich” - Barbara Radziwiłłówna, „Elektrze” - Klitajmestra. Stworzyła też niezapomniane kreacje w Teatrze Telewizji, ostatnio w „Świętoszku” w reżyserii Andrzeja Seweryna. Pracowała z najwybitniejszymi reżyserami scen polskich.

Duma i cięty język

Z ZOFIA RYSIÓWNA rozmawia Jolanta Ciosek



Zofia Rysiówna w tytułowej roli w spektaklu „Panienka z Tarny”
- Teatr na Woli
Fot. Jerzy Mąkowski

spiański, Słowacki. To był mój teatr. Na mistyczno-filozoficznych dziełach Słowackiego kształciłam swój warsztat, swoje myślenie o teatrze. I umiejętność przekazywania sensów sztuk, w których grałam. Dziś słyszę bylejaką w radiu, telewizji, teatrze. Ktoś, wymawiając nazwisko, połyka jego połowę.

- Niechlujstwo towarzyszy nam niemal we wszystkich sferach życia. Sądzi Pani, że to znak naszych czasów?

- Tak, bo wybierane jest jako naturalny sposób porozumiewania się. I przez nas najchętniej uprawiany. Człowiek winien być odpowiedzialny za wszystko, co w życiu robi - od spraw wielkich, po najdrobniejsze. A nas otacza arogancja, niesolidność, zarówno w życiu codziennym jak i w sztuce. Słowo solidność stało się dziś bardzo niemodne. Zawsze staram się pamiętać, aby podać numer mojego domofonu, by gość nie stał bezradny pod drzwiami. W teatrze - wszystkie swoje umiejętności wkładałam w rolę, bo wiedziałam, że moja sztuka służy innym. A to zobowiązuje. Teatr, który dziś oglądam, coraz bardziej się ode mnie oddala.

- A może Pani od niego?

- Może. Niedawno oglądałam „Czwartą siostrę” Głowackiego - dramat będący aluzją do „Trzech siostr” Czechowa. Grałam w jego sztukach i uwielbiam go za dowcip, widzenie świata i ludzi w ich ostatecznej niemożności. Ta konfrontacja była dla mnie bolesna. Ogarnęło mnie uczucie wstrętu, obcości i absolutnej nicności. Na współczesny dramat i teatr trzeba mieć „odbiornik”. A ja go nie mam. Dlatego czuję się dotknięta tym, co dzisiaj często zdarza się w teatrze. Mimo że nie jestem przeciwniczką wyrazistości formy i treści. Sprzeciwiam się trywialności.

- Teatr jest jednak lustrem rzeczywistości. A czyż ta nie

kwencjach moich posunąć. Jeśli boli cię trywialność życia, to myśł, szukaj zawrócenia w inną stronę. Jeśli świat pełen jest pedofilów, narkomanów, czy to znaczy, że sztuka ma się tym zajmować? Przecież człowiek potrzebuje odchylenia w inną stronę, od tego wszystkiego, co się tłoczy w jego mózg z radia, telewizji, z ulicy. Tej innej stronie nie ma służyć sztuka. Kiedy dowiaduję się o łódzkich aferach, w których medycyna służy zabijaniu, zastanawiam się, co człowiek doprowadza do tak zbrodniczych zachowań? Na to pytanie powinni odpowiadać socjologowie, nauczyciele, psychiatrzy.

- A teatr, czyż nie jest miejscem, w którym należy analizować i diagnozować kondycję człowieka?

- Jest takim miejscem. I zajmować się w nim należy psychicznym, a nie fizycznym neglizmem człowieka. Bo w teatrze nie wolno zastępować myśli - neglizmem. Ten ostatni dotyczy zacisza domowego. I mówię to jako kobieta w pełnym tego słowa znaczeniu, która urodziła dwójkę pięknych dzieci.

- Samotne wychowywanie dzieci i jednocześnie granie wielkich ról w teatrze wymagało zapewne od Pani dużego wysiłku. Udało się Pani godzić te obowiązki bez strat dla sztuki i rodziny?

- Godzenie było bardzo trudne. Zostałam sama z dziećmi, bez żadnego wsparcia: moralnego i materialnego. Musiałam pracować, by zapewnić byt im i opiekunkom. To był trudny czas w moim życiu. Żeby stworzyć prawdziwą rodzinę, potrzebny jest ojciec i matka. Mnie życie nie dało takiej możliwości. Ale też oszczędziło, na szczęście, bycia dyrektorką. Gdy Hanuszkiewiczowi zaproponowano dyrekturę teatru - natychmiast rozwiódł się ze mną. Jestem głęboko przekonana, że za-

mie jest dane - przypadnie. Aktorzy nie decydują o swoim losie. Stąd tak wiele zależy od wspomnianych mistrzów - przewodników. Zagrałam wiele pięknych ról, przeszłam przez wiele warszawskich teatrów: „Klasyczny”, „Rozmaitości”, „Polski”, „Nowy”, „Dramatyczny”, „Powszechny”. Z tego ostatniego bardzo dobrze wspominam np. rolę Masłowej w „Zmartwychwstaniu”. Wszystkie barwy kobiecości były w niej zawarte: bogactwo zysków i strat. To była rola stosowna dla mnie.

- A zdarzały się niestosowne?

- Raczej łamiące konwencje, jak np. Ofelia w „Hamlecie”. Nie miałam powierzchowności lili wodnej, jaką powinna mieć Ofelia, lecz byłam dziewczyną z krwi i kości. Z długimi, czarnymi warkoczami. Ale chyba miałam „wrażliwość” Ofelii. A propos stosowności, przypomina mi się zabawna historia. Otóż 60-letnia Helena Modrzejewska, będąc już aktorką teatrów lwowskich, zagrała gościnnie w Krakowie rolę o wiele młodszej od siebie. Wytknięto jej to w recenzjach. Mój znajomy odwoził Modrzejewską pociągami, gdy ta wzburzona mówiła: - W Polsce aktorkom nie liczy się zastóg, tylko zmarszczki. W tej materii film jest o wiele bardziej okrutny niż teatr.

- Jest Pani aktorką, która zawsze stawiała sobie i innym bardzo wysoko poprzeczkę. Wzbudzała Pani respekt, ponoć niektórzy wręcz bali się Pani silnej osobowości?

- Byłam pryncypialna w pracy: zawsze punktualna, przygotowana. Mogę powiedzieć z całą pewnością: Jak grałam Judytę w „Księdzu Marku”, to nawet Jasio Świdewski, który często grał „pod” trzech suflerów, znał swoją rolę „na blachę”. O jego graniu „pod suflera” krążył nawet żart w „Ateneum”: jak gra Świdewski, nie wolno głośno mówić w teatrze. Bo powtórzy na scenie. To prawda, zawsze byłam stanowcza i konsekwentna. W mojej obecności wszyscy „się starali”.

- Czyli nie była Pani łatwa w pracy?

- W niczym nie byłam łatwa. Bo mój nieszczęsny umysł wyprzedzał wielu w myśleniu.

- Słynie też Pani z ciętego języka.

- Od dziecka go miałam. Jak dziś pamiętam: sąsiadka upiekła ciasto, podała na stół i mówi: - Mam placek. A ja na to, kilkuletnia smarkula: - Pani ma placek, a Zosia zęby. Poza tym, proszę pani, ten zawód wymaga silnej osobowości, bo w nim trzeba walczyć o prawdę swojej roli.

- Czy to właśnie silna osobowość kazała Pani odejść z Krakowa do Warszawy, choć tu, w teatrze, wiodło się Pani znakomicie?

- Zawsze byłam osobą dumną. Dyrektor teatru przekroczył granice dobrego tonu, więc odeszłam. Do Dobiesława Damięckiego, który był dyrektorem warszawskich „Rozmaitości”. Cudowny pan, pilsudczyk, więc